

prof. dr hab. JAN WOLEŃSKI

Polska Akademia Umiejętności

GŁOS W DYSKUSJI

Moje uwagi dotyczą ewaluacji, przede wszystkim ewaluacji w naukach humanistycznych i społecznych (dalej będę używał złożenia „humanistyczno-społecznych”), ale, jak przypuszczam, niektóre z nich mogą być aktualne również z punktu widzenia innych dziedzin nauki. Niemniej jednak, nauki ścisłe, przyrodnicze, medyczne i techniczne poradzą sobie lepiej lub gorzej, ale zawsze jakoś – o teologii, uznanej (jest to oryginalny, ale „obciachowy” pomysł MNiSW) za odrębną dziedzinę (nie dyscyplinę) nie ma co mówić, ponieważ znajduje się pod specjalną protekcją władz, ponoć z uwagi na przepisy konkordatu. Nauki humanistyczno-społeczne mają gorzej, aczkolwiek jesteśmy uspokajani, głównie przez kolegów z innych dziedzin, rzadziej naszej własnej, że jeśli tylko będziecie chcieć, to możecie wszystko mieć.

Ewaluacja jest dyscyplinowa, co znaczy, że jednostki naukowe będą oceniane wedle poziomu dyscyplin uprawianych w ich ramach. Aby dana dyscyplina w danej jednostce była ewaluowana, potrzeba, aby ją uprawiało co najmniej dwunastu pracowników naukowych pracujących na pełnym (pierwszym) etacie w danej instytucji. Dlaczego dwunastu? Jeden z promotorów nowych porządków w naszej nauce odrzekł, że być może z tej racji, że było dwunastu apostołów. Ta odpowiedź bardzo dobrze świadczy o niezwykle wysokim poziomie naukoznawczym „uzdrowicieli” nauki polskiej. Większe uczelnie nie będą miały problemów z zebraniem apostołowskiej liczby osób w dyscyplinach, ale mniejsze tak. I to nie tylko szkoły prywatne, ale także niektóre – publiczne. Już mamy niespodziankę w postaci wykreślenia filozofii z rejestru dyscyplin Uniwersytetu Polskiego, bo zabrakło tam wystarczającej liczby „apostołów”

tej dyscypliny. Jest to prawdopodobnie ewenement wśród światowych uniwersytetów (w tradycyjnym znaczeniu, tj. „bezbzmiotnikowych”), ale raczej niezbyt chlubny.

Ewaluacja dyscyplinowa rozpoczęła poważny ruch kadrowy polegający na skłanianiu (czytaj: zmuszaniu w większości przypadków) pracowników, zwłaszcza młodszych, do przekwalifikowywania się, np. filozofów lub socjologów na politologów lub fachowców od komunikacji społecznej i mediów, aby tylko osiągnąć apostolską liczbę w ramach dyscypliny, którą uznano za zapewniającą rozmaite przywileje akademickie. W mojej dyscyplinie, tj. filozofii, ubyło w ostatnich latach około 300 koleżanek i kolegów, a więc około 1/4. Proces ten prowadzi, po pierwsze, do destrukcji dotychczasowych zespołów naukowych, po drugie, degradacji indywidualnej, po trzecie, do zmanipulowanych deklaracji o tym, czym naukowcy, zwłaszcza młodszy, zajmują się, po czwarte, do likwidacji lub przynajmniej znacznego ograniczenia zajęć z filozofii (nie mam danych o innych dyscyplinach) jako przedmiotu usługowego (także światowy i niechlubny ewenement), ponieważ uczelniom nie opłaca się zatrudniać nauczycieli akademickich, będących balastem ewaluacyjnym, oraz, po piąte, do jawnego bezprawia, ponieważ przymuszanie do zmiany afiliacji dyscyplinowej jest zwyczajnym mobbingiem. W planie bardziej ogólnym, ewaluacja wedle tzw. konstytucji dla nauki (nazwa jest wręcz humorystyczna) przypuszczalnie doprowadzi do znacznego zmniejszenia liczby szkół akademickich, ponieważ wiele z nich zostanie – zawodowymi. Okoliczności te sprawiają, że ewaluacja, deklaratywnie skierowana na wytwory (prace) naukowe, nie na osoby, będzie miała jednak charakter personalny, przynajmniej w dużej mierze.

Przechodzę do kwestii punktacji czasopism i wydawnictw naukowych. Lista czasopism zawiera około 30 tysięcy czasopism, w tym „kilkaset” (cudzysłów zaznacza nieokreśloność w dostępnych wykazach) tytułów polskich. Liczba czasopism spoza Polski jest pokaźna, ale w dużej mierze bez praktycznego znaczenia. Przypuszczalnie, co najwyżej 10% ma realne znaczenie dla nauki polskiej. Piszę „przypuszczalnie”, ponieważ nie ma danych wskazujących na to, ilu polskich naukowców (w szczególności, przedstawicieli nauk humanistyczno-społecznych) publikuje w czasopismach zagranicznych i w jakich. Czasopisma otrzymały „kwoty punktowe” od 20 do 200 punktów. Większość polskich „publikatorów” humanistyczno-społecznych została wyceniona na 20 punktów. Jest kilka wyjątków, przy czym kryteria są niezbyt jasne. „Przegląd Sejmowy”, niszowe pismo prawnicze, otrzymało 40 oczek, zapewne w wyniku lobbingu politycznego – jest to organ „słusznej myśli państwowo-

twórczej”, a więc został wyróżniony za sprawą kryteriów pozanaukowych. Czasopismom przyporządkowano dyscypliny. Wprawdzie pojawiło się oficjalne wyjaśnienie, że kryterium to będzie traktowane elastycznie, ale trzeba poczekać na praktykę. Tak czy inaczej, szereg czasopism „wielodyscyplinowych” jest wyżej punktowany niż „jednodyscyplinowych”. W sumie można powiedzieć, że kryteria punktacyjne nie są transparentne. Wydawnictwa zostały podzielone na dwie grupy, te, które otrzymały 200 punktów oraz te za 80 punktów. Fakt, do pierwszej należy szereg bardzo renomowanych firm, jak Oxford University Press czy Academic Press, ale także niezbyt znane Brepols Publishers, ale za to publikujące „Corpus Christianorum”. W grupie drugiej znajdujemy m.in. Springer Verlag, rzeczywistego potentata o skali międzynarodowej, nieźle Wydawnictwo UJ (skala przede wszystkim krajowa) i Wydawnictwo Wyższej Szkoły Policyjnej w Szczytnie. A teraz przykład, co z tego wynika. Pisma „Filozofia Nauki” i „Roczniki Filozoficzne” zostały „wypunktowane” na 40 oczek. Pierwszej przyporządkowano prawo kanoniczne, drugiej – teologię. „Filozofia Nauki” nigdy nie opublikowała artykułu z prawa kanonicznego, natomiast „Roczniki Filozoficzne”, wydawane przez KUL są naturalnym miejscem dla opublikowania pracy z zakresu teologii. Przypuśćmy, że jakiś X ogłosił w pierwszym piśmie tekst o metodologicznych podstawach orzeczeń o unieważnieniu małżeństwa kanonicznego, a w drugim – artykuł o sporach wokół trynitaryzmu. Obie prace (powiedzmy każda piętnastostronicowa) otrzymają razem 80 punktów, dokładnie tyle samo, ile moja, akurat wychodząca w Springerze, monografia *Semantics and Truth* (360 stron). To są konsekwencje absurdalnych pomysłów ministerialnych mędrców od ewaluacji, nieczułych np. na postulat wprowadzenia większego zróżnicowania wśród czasopism.

„Kwoty punktowe” są przyznawane dość arbitralnie, nawet pomijając lobbiny na rzecz teologii jako dziedziny, prawa kanonicznego jako dyscypliny czy pism w rodzaju „Przeglądu Sejmowego” (daleki jestem od deprecjonowania tego pisma, ale jednak nieco daleko mu do „Przeglądu Filozoficznego” – 20 punktów). Arbitralność jest nieunikniona, ale główny problem polega na tym, że zastosowano tzw. skalę porządkującą, a więc bardzo słabą. Moc danej skali zależy od rodzaju operacji matematycznych dopuszczalnych na wynikach uzyskanych wedle pomiaru wedle tejże skali. Porządkowanie nie pozwala nawet na stwierdzenia typu „o ile więcej” czy operowanie średnimi. To umożliwia dopiero skala interwałowa (pomiar różnic) i skala ilorazowa (mnożenie i dzielenie wyników). Tymczasem już pojawiają się głosy, że artykuł w „Przeglądzie Filozoficznym” jest dziesięć razy gorszy od pracy opublikowanej w „Journal

of Philosophy”. Tego rodzaju stwierdzenia są nonsensowne. Jeden z uczestników niniejszej dyskusji (przedstawiciel Komisji Ewaluacji Nauki) uspokaja, że specjaliści nadal pracują i proponują średnie ważone dla czasopism wielodyscyplinowych. Wygląda na to, że nie ma pojęcia, o czym prawi. Tedy, dumnie oświadczenia (można je znaleźć na oficjalnej stronie MNiSW), że koniec z tzw. punktozą, że teraz naukowcy polscy mają otwartą drogę do publikowania wartościowych prac w świecie, są zwyczajną hucpą twórców ustawy i ich propagandzistów, niestety także ze środowiska akademickiego.

Każdy naukowiec ma przedstawić co najwyżej cztery prace z ostatnich czterech lat, w tym nie więcej niż jedną książkę. Dlaczego tak, tj. dlaczego znowu pojawiła się magiczna czwórka, święta liczba w antycznej Grecji, ale równie dobrze może chodzić o cztery pory roku lub czterolistną koniczynkę? Decydenci i ich doradcy wyjaśniają, że należy ograniczyć liczbę ewaluowanych publikacji, ponieważ niektórzy zgłaszali ich za dużo. To prawda, że bywają „astronomiczne” liczby publikacji, ale to są sytuacje wyjątkowe i łatwe do opanowania prostymi ograniczeniami już na szczeblu jednostki naukowej, uczelni czy instytutu PAN. Twórcy tzw. konstytucji dla nauki uważają, że dzięki czwórkowemu conceptowi, naukowcy polscy będą mogli zgłosić do ewaluacji najlepsze prace. Bzdura, bo zgłoszą najwyżej punktowane – mamy tutaj kolejny przykład typowego efektu punktozy, tj. pomieszanie konwencjonalnie ustalonych punktów z rzeczywistą wartością. Środowisko humanistyczno-społeczne wskazuje, że w dziedzinie przezeń reprezentowanej nieodzowna jest ocena ekspercka, ale postulaty w tym względzie są tłuczeniem grochu o ścianę.

Nie brak głosów, że to my sami, tj. humaniści i przedstawiciele nauk społecznych jesteśmy odpowiedzialni za zaistniały stan rzeczy. Boć, Panie Dzieju, braliśmy udział w odpowiednich zespołach eksperckich zajmujących się ustaleniem punktacji czasopism. Padło nawet takie stwierdzenie, że skoro Woleński jest członkiem Komitetu Nauk Filozoficznych, rzeczony gremium wytypowało przedstawicieli do zespołu eksperckiego w zakresie filozofii, to Woleński (współ)odpowiada za to, co zrobił ten zespół. Cóż, zasada przechodniości jednak nie działa w ten sposób. Prawda jest taka, że prace zespołu zostały, po pierwsze, objęte klauzulą tajności, a po drugie, wyniki jego pracy uległy zmianie, przy czym dokonanej nie bardzo wiadomo przez kogo. Tedy, od razu założono, że efekt pracy zespołu zajmującego się punktacją w danej dyscyplinie jest prowizoryczny i zostanie poddany korekcie. Tak też stało się, ale nie bardzo wiadomo, kto korygował.

Jakaś forma ewaluacji jest niezbędna, chociażby z uwagi na masowość nauki i to, że jest ona kosztowna. Można też zgodzić się z tym, że w Polsce

jest za dużo wydawnictw i czasopism, ale ten problem można rozwiązać bez multiplikacji punktozy. Wszelako sposób wprowadzony w związku z wdrażaniem ustawy 2.0 jest nie do przyjęcia, nie tylko dlatego, że ma niewiele wspólnego z oceną rzeczywistej wartości osiągnięć naukowych. Kolejnym problemem jest to, że prace „nadal trwają”, do kolejnej ewaluacji został rok, a ciągle nie wiadomo, gdzie publikować, a kierownicy jednostek naukowych zapowiadają, że jeśli ich podwładni nie będą odpowiednio punktowali, to trzeba będzie się temu przyjrzeć. Dalej, jak na razie, wygląda na to, że 31 osób (tyle liczy Komisja Ewaluacji Nauki) będzie oceniać jakieś 200 tysięcy publikacji. Jeśli zechcą to uczynić rzetelnie, nawet na podstawie próbek, pewnie im to zajmie kilka lat, ale zapewne rzecz skończy się na zestawieniu punktów dostarczonych przez komputer. Tyż piknie. I na koniec, można spodziewać się bardzo negatywnych procesów socjologicznych w środowisku naukowym, w postaci niezdrowej rywalizacji, nadużyć w kwalifikowaniu prac podlegających ocenie, masowych odwołań od wyników ewaluacji, manipulacjach kadrowych (o tym wspomniałem wcześniej) itd., na dodatek dziejących się w kontekście systematycznego niedoinwestowania nauki polskiej. Twórcy ustawy wykazali wyjątkowo marną wyobraźnię socjologiczną. Rzeczywiście wdrażana reforma jest inna niż wszystkie, tyle że gorsza.